

## Do moich drogich i niesfornych Rodaków

Sytuacja jest delikatna. Wygląda na to, że Europa Zachodnia nie tylko się nami interesuje, lecz, co więcej, ostatnio czynimy się jej podobać. Po nurkowaniu u wybrzeży Seszeli i skakaniu na bungee w Wielkim Kanionie nadeszła kolej na nasze słowiańskie miasta i krajobrazy. Z niewyjaśnionych przyczyn Polska stała się modna i wypada ją chwalić.

Czy to dobrze? Na pewno. Kłopot jednak w tym, że nie ma na świecie kraju zasługującego wyłącznie na pochwały. Są powody, by narzekać na Francję, na Amerykę tym bardziej, to i owo można by zarzucić nawet księstwu Monako. A my? Księstwem Monako z pewnością nie jesteśmy, mimo że chcielibyśmy nim być każdego dnia.

Weźmy choćby naszych niemieckich sąsiadów. W Stuttgarcie panuje przekonanie, że o ile tam produkuje się najlepsze auta świata, o tyle my Polacy jesteśmy prawdziwi mistrzami w ich nielegalnym pozyskiwaniu. Czy możemy temu zaprzeczyć? Raczej nie. Czy nas to martwi? Na pewno. Ale niestety usprawiedliwienia niczego tu nie zmieniają. I tak już trudno jest wyjaśnić mieszkańcowi Europy Zachodniej, dlaczego co drugi Polak nosi wąsy albo – tym bardziej – dlaczego jesie-

nią ruszamy do lasu na grzyby niczym zgraja yeti, jak gdyby chodziło tu co najmniej o ostrygi.

Jeżeli więc, moi drodzy i niesforni Rodacy, rzeczywiście chcemy coś zrobić dla naszego kraju, to pokażmy, że jesteśmy narodem z potencjałem. A ten potencjał poznaje się najlepiej po tym, ile samokrytyki jesteśmy w stanie znieść. Wątpliwości dotyczące naszego kraju może bowiem rozwiać tylko to, co jest ich przyczyną: czyli Polska, Polen lub Pologne, albo jak tam nas za granicą nazywają.

I podczas kiedy Wy, moi drodzy i niesforni Rodacy, w świetle tego, co właśnie zostało powiedziane, już pewnie marszczycie podejrzliwie czoło, ta książeczka staje się faktem, chcąc służyć dobrym przykładem.

## Jak spowodować zwarcie w komunizmie

Kiedy polski prezydent Lech Wałęsa podczas wizyty państwowej w Wielkiej Brytanii nocował w pałacu Buckingham, zwrócił uwagę na zły stan gniazdek elektrycznych. Następnego dnia, podczas wieczornego obiadu, poinformował o tym królową. Jednak brytyjska monarchini albo uznała to za żart, albo też angielszczyzna polskiego prezydenta pozostawiała coś do życzenia, gdyż, tak czy inaczej, ostrzeżenie przeszło bez echa. Kilka miesięcy później z powodu niesprawnej instalacji elektrycznej spłonęło całe skrzydło pałacu. Cały świat wstrzymywał oddech, oglądając w telewizji te przerażające obrazy. Tylko w Polsce potrząsano głowami – 40 lat komunizmu nauczyło Polaków jednego: dobry elektryk jest złota wart.

Na długo przed wyborem na prezydenta Polski Lech Wałęsa naprawiał instalacje elektryczne w Stoczni Gdańskiej. Ten człowiek, który przeszedł do historii jako przywódca „Solidarności” i poskromiciel komunizmu, mieszkał wtedy z żoną Danutą (która później w jego imieniu odbierała Nagrodę Nobla w Sztokholmie) w ciasnym mieszkaniu na peryferiach Gdańska. Początkowo Lech Wałęsa nie miał ambicji politycznych – nie mówiąc już o światowej rewolucji. Jego

codzienne myśli krążyły wokół tego, jak zdobyć w sklepie pół kilo kielbasy. Poza tym robił to, z czym kojarzy się jego nazwisko – wieczorami widywał się z kumplami, a w weekend wyskakiwał „na ryby”. Krótko mówiąc: „wałęsał się”. Pewnego dnia spotkał się z kilkoma działaczami Wolnych Związków Zawodowych, którzy złożyli mu propozycję nie do odrzucenia. Do tej chwili twierdził, że jest „leniem”, później jednak dodawał: „Rower wynalazł właśnie leń, bo nie chciało mu się chodzić”.

W tym wypadku właściwie to rower przyszedł do niego. Działacze Wolnych Związków Zawodowych szukali człowieka „z ludu”. A kto nadawał się na to lepiej niż robotnik ze Stoczni Gdańskiej, największego ogniska niepokojów i gniazda oporu w Polsce już od początku lat siedemdziesiątych. Od tego momentu elektryk Wałęsa przestał się „wałęsać” i robił wszystko, aby spowodować zwarcie w systemie komunistycznym. Reszta stała się historią, którą można poznać z każdego leksykonu.

Zachód zna Lecha Wałęsę jako rubasznego wåsacza z wizerunkiem Madonny, który nosił w tym samym miejscu marynarki, gdzie komunistyczni dostojnicy przypinali odznakę partyjną. W Polsce z kolei pamięta się bardziej jego zaskakujące wypowiedzi i nieszablonowe zachowania. Niezapomniana pozostanie scena, kiedy ten charyzmatyczny przywódca związkowy podpisywał porozumienia sierpniowe. Wałęsa pojawił się wtedy z olbrzymim długopisem, przypominającym monstrualny śrubokręt. Niektórym ten długopis kojarzył się z berłem, i faktycznie Lech Wałęsa został pierwszym prezydentem Polski wybranym w wolnych wyborach.

Mimo że opinie o jego walorach jako męża stanu są do dzisiaj podzielone, jedno nie ulega wątpliwości: z prezyden-

tem Wałęsą Polakom się nie nudziło. „Nie chcę, ale muszę” – tak uzasadnił swoją kandydaturę na urząd prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, co miało zresztą sens. O mały włos prezydentem Polski nie zostałby wtedy tajemniczy biznesmen z Kanady o dźwięcznym nazwisku Stan Tymiński. Oprócz niezwykle atrakcyjnej żony Stan Tymiński posiadał czarną teczkę, w której miał ponoć „papier” na każdego rywala. Niestety zawartość słynnej teczki pozostanie na zawsze tajemnicą, znikła ona bowiem zaraz po wyborach razem ze swoim właścicielem.

Wielu Polaków zna pamiętne wystąpienie Lecha Wałęsy w Waszyngtonie. W 1989 roku, kiedy Lech Wałęsa jako trzeci w historii Stanów Zjednoczonych cudzoziemiec przemawiał przed amerykańskim Kongresem, wygłosił płomienne zapewnienie: „Jak trzeba będzie, to przejadę się po Polsce z siekierą i zrobię porządek”. Zręczny tłumacz zamienił to na „poprowadzę Polskę do demokracji”, za co obaj panowie dostali zasłużone *standing ovation*.

Wszystko wskazuje jednak na to, że śmiertelny cios zadali reżimowi komunistycznemu nie Lech Wałęsa, ani też nie „Solidarność”. Byli oni jedynie „przedłużonym ramieniem” narodu polskiego, posiadającego pewne cechy, które na dłuższą metę są zabójcze dla każdego reżimu i dyktatury. Z jednej strony to wrodzona nieufność do autorytetów, a zwłaszcza własnego rządu, z drugiej – wręcz niewyobrażalna zdolność wprowadzania chaosu wszędzie tam, gdzie dotąd panował ład.

Obie te cechy, świecące niczym dwie gwiazdy na firmamencie polskiego charakteru narodowego, potrafiły równie skutecznie zadać ostatni cios komunizmowi, jak wcześniej zaborcom i okupantom, których w ciągu ostatnich 200 lat

było kilku. Rosyjskim carom, rządzącej Galicją Marii Teresie, a także hitlerowskim Niemcom Polacy nieraz dostarczali dowodów, że równie dobrze umieją stawiać opór bierny, jak i czynny.

Co ciekawe, najszybciej połapali się w tym rosyjscy komuniści. W odróżnieniu od niemieckiego okupanta, który w swej naiwności uwierzył w siłę dyscypliny, komunistyczni aparatczycy już od samego momentu zaanektowania Polski po II wojnie światowej czuli się nieswojo. Ich obawy, że Polska to niepewny grunt dla światowej rewolucji, miały się wkrótce potwierdzić. Wszędzie poza Polską wszystko szło jak po maśle. W NRD posłusznie wybudowano mur, a w Moskwie rozkochano się w ojczulku Stalinie, którego podobizny regularnie stawiano na postumentach. Ofiarą kultu Stalina padł nawet pomnik rosyjskiego poety narodowego Aleksandra Puszkina. Gdy rozpisano konkurs na najlepszą rzeźbę poety, pierwsze miejsce zajęła statua Stalina czytającego książkę Puszkina. W Polsce od samego początku nic się jednak nie układało – brakowało tu zrozumienia dla światowej rewolucji komunistycznej i zachwyty ojczulkiem Stalinem. Gdy gdzieś w Polsce wzniesiono pomnik wielkiego wodza, efekty były na ogół inne niż w Moskwie. W Warszawie na przykład doszło pewnego dnia, po wzniesieniu kolejnego pomnika Stalina, do tajemniczego zdarzenia. Przywódcy rewolucji marksistowskiej skradziono w nocy prawe ramię. Próbowano zatuszować tę kompromitację wzmianką w prasie, w której można było przeczytać, że już wkrótce po uroczystym odsłonięciu pomnika Józefa Stalina w okolicach klatki piersiowej zaczęły się pojawiać pęknięcia, a ich przyczyną były wady materiału, co w efekcie doprowadziło do odłączenia się prawego ramienia od tułowia.

Zaginione ramię Józefa Stalina oczywiście się nie odnalazło. Mało tego – odtąd „potężny wódz światowej rewolucji” przez większość czasu musiał radzić sobie bez prawego ramienia, ponieważ kolejne „protezy” ulatniały się najpóźniej w ciągu tygodnia. Ale naród polski nie ograniczał się do sabotowania martwej materii, od czasu do czasu dostawało się także żywym przedstawicielom władzy komunistycznej. W roku 1955 cała Warszawa opowiadała sobie następującą anegdotę:

Pewnej styczniowej nocy kilku dostojników partyjnych (był wśród nich nawet minister), po wyjściu z oficjalnego przyjęcia przechadzało się po warszawskiej Starówce. W którymś momencie spostrzegli karuzelę i postanowili się nią przejechać. Ponieważ była druga w nocy, wyciągnęli z łóżka operatora karuzeli i zasiedli w gondolach. Operator uruchomił maszynę i schronił się przed trzaskającym mrozem w swojej komórce, gdzie natychmiast zasnął. Po czterech godzinach wszystkich uczestników zabawy przewieziono w stanie skrajnego wyczerpania do szpitala. Lekarzy zastanowiły zwłaszcza silne odmrożenia palców stóp. Okazało się, że zrozpaczeni towarzysze pozdejmowali buty, którymi obrzucali nadaremnie komórkę kimającego operatora.

W 1980 roku, kiedy całą Polskę ogarnął ruch „Solidarności”, wystarczyło wsiąść do pierwszego lepszego autobusu albo tramwaju, aby zobaczyć, co się w kraju święci. Sam byłem w Warszawie świadkiem niecodziennej sceny w autobusie linii 137. Pojazd był wypchany po brzegi, ludzie wracali zmęczeni z pracy. Nagle kobieta z dwiema dużymi torbami zaczęła śpiewać jakąś piosenkę ludową. Kilka osób podjęło melodię, aż w końcu śpiewali wszyscy, łącznie z kierowcą. Ten, kto wchodził do autobusu, od razu się przyłączał. Co

ciekawe, prawie nikt nie wysiadał, wszyscy jechali tak aż do końcowej pętli. W powietrzu wisiało już od tygodni coś wyjątkowego. Na górze, w rządzie, wrzało, ale wśród ludzi panowała przyjazna i harmonijna atmosfera. Nikt nie miał wrażenia, że uczestniczy w rewolucji, lecz w święcie, które może się zakończyć tylko jednym.

Gdyby wtedy generał Wojciech Jaruzelski przejechał choćby jeden przystanek tym autobusem, pojąłby, że koniec jego dyktatury to tylko kwestia czasu. Z ludzi emanowała zbyt wielka siła. Ta siła nie tylko „rozśpiewała” pasażerów autobusu linii 137, lecz obaliła później także „żelazną kurtynę”.

Dzisiaj po Warszawie jeżdżą już inne autobusy. Są jaśniej oświetlone, a ludzie nimi podróżujący lepiej ubrani. Pasażerowie nie tylko nie rozmawiają już ze sobą, ale unikają też spojrzeń. Z przodu, wpatrzona w okno, siedzi jakaś pani z olbrzymią torbą z IKEA. Z tyłu głośno „gdaczą” komórki kilkorga nastolatków. Reszta pasażerów sprawia wrażenie znudzonych albo czyta ilustrowane magazyny, które ostatnio zalewają rynek. Na kilku twarzach zaczynają już jednak być widoczne oznaki swoistej przekory, a na jednej z nich nawet maluje się pytanie: „Czy już nie najwyższy czas, by zrobić zwarcie w tym kapitalizmie?”